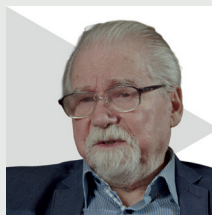




## Jerzy Jachowicz



część III z III

Sygnatura notacji: **N0659**

Data urodzenia: **15.05.1938 r.**

Data nagrania: **04.03.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 47 min, część II: 52 min, część III: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Jerzy Jachowicz:** Kiedy przychodziłem do „Gazety Wyborczej”, to naprawdę moją ambicją, taką pierwotną ambicją było zajęcie się sprawami, na których, jak mi się wydawało, się już trochę znam ze względu na swoje zainteresowania zawodowe, a więc przede wszystkim filozofią, kulturą, filmem, teatrem telewizji, architekturą, teatrem jako właśnie rodzajem architektury, to wyniesione jeszcze jakby z wiedzy filozoficznej. Taką też tematykę zaproponowałem, jaką możliwą do realizacji jako dziennikarz. Facet od spraw kultury szeroko bardzo pojętej, ale po tym reportażu o szklanej rurce, tak chyba to się nazywało, „Tropem szklanej rurki”, mówiono: „No, słuchaj, Jurek, ale bardzo interesują nas takie teksty sensacyjne, wiesz, takie dla czytelników, które będą ciekawe, które będą atrakcyjne”. Więc w związku z tym nie zawsze było pod ręką coś bardzo ciekawego, więc pisałem także właśnie o filmie, pisałem, proszę sobie wyobrazić, także o meczach siatkarskich, pamiętam dokładnie. Ale ze względu na te zainteresowania, które się pojawiły w okresie stanu wojennego, i ze względu na swoją działalność, którą starałem się prowadzić wedle pewnych reguł takiej autentycznej, a nie udawanej ani nie takiej szminkowanej konspiracji, posiadałem dosyć dużą wiedzę, jeśli chodzi o działalność wywiadowczą Służby Bezpieczeństwa, o sposoby, w jaki sposób oni demaskowali zarówno drukarnie, jak i różne przedsięwzięcia, głównie to, co było przygotowywane na demonstracje „Solidarności”. I powiedziano: „Jurek”, w „Gazecie Wyborczej” szefostwo, czyli wtedy Helenka Łuczywo, Julek Rawicz, Adam Michnik, powiedzieli: „Jurek, no dobrze, to fajnie, że kulturą się interesujesz i tak dalej, ale może byś się zajął sprawami armii i sprawami MSW. No bo to są w tej chwili dwie rzeczy, które mogą być interesujące”. W ten sposób zacząłem zajmować się. Pierwsza sprawa, która, właściwie te słowa o tym, czym mam się zajmować, padły dopiero w momencie, kiedy już za mną były pierwsze miesiące pracy nad śmiercią Sylwestra Zycha. To było tak, że wysłano mnie najpierw na napisanie sprawozdania, pamiętam dokładnie, ze spotkania takiego kandydata na premiera, którym wtedy był

na początku, zanim jego misja się nie powiodła, Czesława Kiszczaka, i to spotkanie miało być na ulicy Rutkowskiego, na zapleczu ulicy Rutkowskiego, tam, gdzie jest siedziba Stronnictwa Demokratycznego i Naczelnej Izby, wtedy jeszcze ZSL, i przywódcy ZSL, chyba Romanowskiego albo Romańskiego, nie pamiętam dokładnie jego nazwiska, chyba Romanowskiego [Malinowskiego]. Tam Czesław Kiszczak przyjechał jako kandydat na premiera. Ale zanim wszedł do sali, dotarła już wiadomość poprzedniego dnia, że tej nocy zginął ksiądz Sylwester Zych. Ja pamiętam pierwsze pytanie, które zadałem przede wszystkim, miałem też tę taką, można powiedzieć, taki dziennikarski nawyk, żeby nie pytać głośno, nie być uczestnikiem konferencji i zadawać pytania. Pytania, które będą wspólne dla wszystkich uczestników takiego spotkania, tylko zawsze starałem się jakoś na boku, żeby tylko w cztery oczy pozostać ze swoim rozmówcą, któremu zadawałem jakieś pytania. Kiszczak już najprawdopodobniej znał mnie dokładnie z innych wcześniejszych, takich drobnych publikacji związanych z obsługą Sejmu. Tak że poprosiłem, żeby odszedł na bok, i za chwilę zapytałem go: „Co pan zamierza zrobić w sprawie wyświeślenia sprawy śmierci księdza Sylwestra Zycha?”. On powiedział: „Proszę pana, proszę się zgłosić do mojego rzecznika. Ja w tej chwili jeszcze nic nie wiem, ale wiem, że dziś ma mieć miejsce komunikat rzecznika rządu w telewizji”. Chodziło o Jerzego Urbana. I istotnie ukazał się ten komunikat, który mówił o tym, najkrócej mówiąc, jednym słowem, że ksiądz Sylwester Zych razem z nieznaną bliżej osobą był w dyskotecie nocnej młodzieżowej Riwiera. Tam zamówili kilka mocnych drinków. W sumie wypili prawdopodobnie co najmniej litr wódki we dwójkę i ksiądz Sylwester Zych, najkrócej mówiąc, używając takiego prymitywnego języka, zapił się na śmierć. I kiedy ukazał się ten komunikat, byliśmy jeszcze wszyscy w redakcji, powiedzieli: „Jurek, jedź do Krynicy i sprawdź, co tam się naprawdę dzieje”. I rzeczywiście później miałem już taki stały nawyk, że każdą sprawą, jaką się zajmowałem, kolejną sprawą, starałem się zawsze być najbliżej tego miejsca zdarzenia, zbadać wszystkie możliwe warunki, jakie tam są, rozmawiać z osobami bezpośrednio zaangażowanymi, wszystko jedno, czy w wyjaśnienie tej sprawy, czy jako domniemani sprawcy, itd. Uznałem, że ta metoda daje prawdopodobieństwo największego zbliżenia się do prawdy poprzez taką autopsję, poprzez osobiste uczestnictwo, przynajmniej takie badawcze w tych wydarzeniach. To wszystko złożyło się właśnie na to, że gdy byłem w czasie kampanii wyborczej, to siłą rzeczy byłem niezwykle zaangażowany w sprawy wyborcze i dostrzegałem ten cień, jakby powiedzieć, złowroźny cień działań komunistycznej Polski nad wszystkim, co ma wspólnego z wyborami, bo przecież zarówno wszystkie śmierci księży, jak i inne wydarzenia miały rzutować bezpośrednio na wybory i, można powiedzieć, na nieczystość tych wyborów, i ich niezgodność do pewnego stopnia z założeniami. Ponieważ można było powiedzieć, że Okrągły Stół to była taka granica, która mogła mówić i mówiła o „zawieszeniu”, w cudzysłowie, broni tych dwóch przeciwstawnych sobie obozów: obozowi władzy reprezentowanym przez partię, a w najgorszym jej wydaniu przez MSW właśnie jako to narzędzie sprawcze zbrodni różnych i przestępstw ówczesnej władzy, i z drugiej strony ten obóz Polski opozycyjnej, opozycji demokratycznej, która dążyła do uwolnienia się od komunizmu. Ale ze strony tego obozu rządzącego najwyraźniej to zakładane „zawieszenie broni”, jak wiemy, nie zostało dotrzymane. A tam, gdzie okazało się, że ponieśli w ramach demokratycznych wyborów porażkę, również nie zostało dotrzymane. To chcę nawiązać do takiej ogólnej myśli o tym, że ta polska demokracja od początku rodziła się na rzeczach, które od razu wpływały na jej kształt i z założenia czyniły ją nie w pełni taką, jaką nawet została uzgodniona przy Okrągłym Stole, nawet do tego stopnia. Mianowicie myślę tutaj o tzw. liście centralnej, taką chyba miała nazwę, Lista Krajowa, centralna lista krajowa, która oprócz zwykłych list kandydatów do Sejmu wybrała 33 postaci niezwykle ważne i można powiedzieć, że wiele z tych nazwisk to były pierwszoplanowe postaci reprezentujące ówczesną władzę komunistyczną. Pamiętam, na tej liście na pewno był Florian Siwicki, Minister Obrony Narodowej, był Stanisław Ciosek jako

ten przedstawiciel rządu do spraw negocjacji z opozycją. Był, pamiętam, nie pamiętam jego nazwiska, przewodniczący PAX, ale byli aktorzy, którzy byli sprzedajni wobec partii. Był np. wybitny filmowiec Jerzy Kawalerowicz, był wybitny reżyser teatralny Szymon Szurmiej. Były, zdawałoby się, nazwiska, które nosiły w sobie zarodek teoretycznie pojednania, ci reprezentanci filmu czy teatru, ale oprócz tego była ta lista nasycona politykami PZPR-owskimi. I ta lista kompletnie przepadła. Nikt z tej listy nie wszedł do Sejmu, bo to była lista do Sejmu. I oto okazało się, że ten obóz opozycji, który powinien tutaj zachować jakąś czystość postępowania wobec wyborców, bo nie chodziło nawet o umowy, chodziło oczywiście o umowy okrągostołowe, ale przecież był to głos polskich wyborców, odrzucenie tych ludzi jako przyszłych członków polskiego parlamentu. A mimo to ówczesna strona, ówczesny Komitet Obywatelski przede wszystkim pod wodzą Lecha Wałęsy, ale także tutaj niestety swój szkodliwy udział miał także Adam Michnik, ponieważ pamiętam dokładnie, jak jedną z propozycji, którą złożyło KC PZPR stronie demokratycznej, stronie solidarnościowej, to żeby powtórzyć te wybory z tej listy krajowej z pełną listą krajową, na której były, o ile dobrze pamiętam, 33 nazwiska. I wtedy Adam Michnik powiedział: „Nie, nie, to niemożliwe, nie będziemy powtarzać, to zastąpimy czym innym”. Zastąpiono jakimiś innymi kandydatami, z których zresztą, co ciekawe, mieli także propozycję ci, którzy zostali z tej listy krajowej skreśleni przez naród, bo tak trzeba powiedzieć, przez polskie społeczeństwo. Żaden z nich nie odważył się kandydować w tych powtórnych wyborach. Stworzono całkowicie jakąś nową, sztuczną listę, ale taką, która zadowalała w końcu stronę rządową. I w ten sposób ta Polska demokratyczna od początku rodziła się, mało powiedzieć, w bólach, bo oczywiście bólem była śmierć trzech księży w tym ostatnim okresie. Bólem, ale takim bolesnym dla Polski były sprawy ekonomii, które w tamtym czasie miały miejsce. Sprawy finansów owego Funduszu Zadłużenia Zagranicznego. Mówiąc o swojej pracy, o pewnych szczegółach w „Gazecie Wyborczej” i mówiąc m.in. o tej liście, chcę powiedzieć, że stosunkowo powoli dojrzewałem do tego, co dziś można powiedzieć, odkrywaniem prawdziwego oblicza poprzedniego reżimu komunistycznego, ale także zagrożeń, niepełne rozliczenie, niepełne odkrycie tych wszystkich przestępstw, które w tamtym okresie miały miejsce, oraz kierunku działań tamtych władz, tak powoli, powoli dojrzewałem, stosunkowo powoli, stosunkowo naiwny byłem, że te pierwsze lata przyniosą takie wspaniałe, nowe owoce dla Polski, dla Polaków. Pod każdym względem, zarówno pod względem ekonomicznym, jak się okazało nieudane, ale także pod względem tego, co określamy czystością życia politycznego i czystością życia społecznego. Te oczy otwierały mi kolejne rzeczy, kolejne afery, tak czasami mówiono o tym, ale kolejne przestępstwa, które były brzemieniem, takim zbrodniczym brzemieniem okresu PRL. Przede wszystkim była to po pierwsze sprawa księdza Jerzego Popiełuszki, była to sprawa śmierci księdza Sylwestra Zycha i była to wreszcie sprawa także Grzegorza Przemyka. I każda z tych spraw pokazywała, jakie jest prawdziwe oblicze MSW. Może tylko tak zasygnalizuję. Sprawa księdza Jerzego Popiełuszki, pamiętam dokładnie, jak Czesław Kiszczak zeznawał jako świadek w tym procesie. Był wielokrotnie pytany o to, w jaki sposób działali jego bezpośredni... zastępcy, jak działali, czyli głównie Władysław Ciastoń, Płatek. Cały czas zastaniał się niepamięcią i tym, że MSW nie miało tutaj żadnego wkładu w tej zbrodni, że był to samoistny czyn 3 nieodpowiedzialnych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, jeśli chodzi o śmierć księdza Jerzego Popiełuszki. I pamiętam jak dziś, kiedy w czasie tego procesu prokuratura odczytała list gratulacyjny Czesława Kiszczaka oraz listę nagród dołączoną do tego listu gratulacyjnego dla tych 3 zabójców księdza Jerzego Popiełuszki jako organizatorów tzw. prowokacji na Chmielnej, otóż wszyscy ci trzej ludzie, a więc zarówno Piotrowski, Chmielewski i trzeci, wszyscy oni maczali palce w tej ohydnej prowokacji, później jeszcze sprzedanej także w sposób skandaliczny i przestępczy przez Jerzego Urbana, który pisał pod pseudonimem Jan Rem w „Trybunie Ludu”, które były później przedrukowywane w całej prasie tak zwanej PZPR-owskiej w Polsce, w gazetach

lokalnych. Jeśli chodzi o śmierć księdza Sylwestra Zycha, to od początku było widać, począwszy od owego reportażu telewizyjnego, który miał podawać prawdziwe przyczyny śmierci księdza Sylwestra Zycha, że była to sprawa ukartowana przez Służbę Bezpieczeństwa. Okazało się to wcale nie tak długo, bo moje śledztwo doprowadziło do tego, że odkryłem, iż jednym z owych barmanów, który obsługiwał, miał obsługiwać księdza Sylwestra Zycha, i do tej pory i wcześniej, i nigdy nieodkrytą, prawdopodobnie wymyśloną tylko na potrzeby tego pozorowanego śledztwa osobę towarzyszącą, mającą towarzyszyć Sylwestrowi Zychowi w tej dyskotecie nocnej, jednym z tych kelnerów był agent Wojskowych Służb Informacyjnych. Drugi to był patologiczny przestępca, podający się, już wtedy niemający nic wspólnego ze studiami, ale istotnie będący przez pierwsze 2 lata na studiach prawniczych Uniwersytetu Warszawskiego, a później mający się różnych zadań, w tym także typowo o charakterze hochsztaplerskim, co także opisałem i wykryłem, który mając mieszkanie, w sposób hochsztaplerski wynajmował je poprzez fikcyjną umowę, a później błyskawicznie tych ludzi usuwał albo w ogóle uniemożliwiał im wejście do tego mieszkania po zapłaceniu półrocznej, a czasami rocznej opłaty i znikał bezpowrotnie, zmieniając zamki w tym mieszkaniu, które było nieosiągalne już dla tych ludzi, którzy za to mieszkanie zapłacili. Otóż to byli dwaj świadkowie i wreszcie odkryłem także to, że trzeci świadek, zdawałoby się, może najbardziej taki wiarygodny, bo uczennica ostatniej klasy szkoły średniej, jakaś młoda dziewczyna pochodząca ze wsi, również poświadczająca tę wersję o przebywaniu w Riwierze w nocy i piciu drinków przez księdza Sylwestra Zycha. Otóż kiedy dotarłem do niej, wtedy, kiedy już przebywała na wsi, kilkanaście tygodni po tym zabójstwie, ona w obecności rodziców przyznała mi się do tego, to też o tym napisałem, przyznała się do tego, że została nie tylko nakłonią, ale w pewien sposób zmuszona szantażem przez tych 2 kelnerów do tego, żeby mówiła to, co oni im każą. Inaczej mówiąc, to, co oni mówią, a tym szantażem było to, że po prostu wyrzucimy cię stąd. A ona spała razem z nimi w namiocie. Będąc kelnerką, mając jak na taką młodą dziewczynę jakieś niezwykle wysokie jak na swoje możliwości i wyobrażenia dochody. Więc to mamy drugą sprawę, która pokazuje działania służb specjalnych. I wreszcie trzecia sprawa, sprawa Grzegorza Przemyska, którą także prowadziłem przez kilka miesięcy. Kiedy dotarłem przede wszystkim do najbardziej wiarygodnego świadka i jednocześnie przez cały okres od śmierci Grzegorza Przemyska aż do czasu, kiedy rozpoczął się drugi proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyska, kiedy po raz pierwszy przed sądem stanęli prawdziwi sprawcy śmierci Grzegorza Przemyska, nikt nie wiedział o tym, że sprawa od początku do końca, jeśli chodzi o jej przebieg, była przez prokuraturę sfingowana, ale przygotowana dokładnie przez MSWiA. Mianowicie dotarłem do oficera, który jako przedstawiciel Kiszczaka miał za zadanie przygotowanie funkcjonariuszy, którzy zatrzymali na Starówce Grzegorza Przemyska, a później znęcali się nad nim, włącznie do śmiertelnego pobicia, już w komisariacie na Jezuickiej, który ustawił dokładnie scenariusz do zeznań przed prokuratorem, który miał dokonać tzw. wizji lokalnej w komisariacie na Jezuickiej. Tenże funkcjonariusz w stopniu bodajże majora albo pułkownika, nie pamiętam, chyba nazywał się, teraz mogę podać jego nazwisko, Kluczyński moim zdaniem, raczej dobrze pamiętam to nazwisko, ustawił scenariusz dokładnie, gdzie który z tych funkcjonariuszy stoi, co robi, jaką pozycję na krześle zajmuje Grześ Przymyk, co kto mówi, co kto mówi do oficera dyżurnego, co mówią między sobą. To wszystko było wyreżyserowane, a prokurator, oczywiście zdając sobie w pełni sprawę, to już jest inna kwestia, aczkolwiek warta tu za chwilę wspomnienia jednym zdaniem, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to, czego jest świadkiem i co ma zaprotokółować jako wersję, która będzie oficjalnie mówiła o zdarzeniu śmiertelnym Grzegorza Przemyska, jest po prostu przedstawieniem, jest po prostu scenariuszem, jest jakby demonstracją na pokaz tylko i wyłącznie. Mówię, że tu trzeba też 2 zdania powiedzieć o sytuacji prawników w Polsce, kiedy mówię o tej spuściźnie, o tym cieniu takim czasami zbrodniczym nad polską rzeczy-

wistością trwającą do dziś. To jest tak, że pełna degeneracja całego systemu prawnego, przede wszystkim zarówno jeśli chodzi o prokuratorów, tutaj mamy, można powiedzieć, genezę, mamy to początkowe ognisko tej degeneracji. Ten wrzód, który się narodził na polskiej prokuraturze, to mamy czasy UB, czasy stalinowskie. Oczywiście one najbardziej reprezentatywne są dla tego upadku całkowitej degrengolady polskiej prokuratury, ale także sądownictwo i to, że dziś, po trzydziestu kilku latach, mimo że w konstytucji jest zapis, że sędziowie muszą być apolityczni, że wejście czy jakiegokolwiek działanie o charakterze politycznym powinno dyskwalifikować sędziego z tego zawodu, to jakże może funkcjonować ta zasada, jeżeli człowiek reprezentujący Izbę Karną Sądu Najwyższego, były rzecznik Pani Małgorzaty Gersdorf mówi wprost, że on chodzi na demonstracje Platformy Obywatelskiej. Chodzi śmiało, dlatego że, i to mówi oficjalnie: „Wszyscy znają moje poglądy polityczne. I nie będę ich ukrywał pod jakimiś pozorami. Po prostu jestem zainteresowany polityką. I będę działał politycznie”. Jeżeli mówi to sędzia Sądu Najwyższego, przewodniczący Izby Karnej, a więc jakby tego trzonu, tak, tego trzonu prokuratury, tego, czym prokuratura w istocie od samego swego początku jest, tego fundamentu prokuratury, to jak możemy mówić o demokracji, prawdziwym sądownictwie w demokratycznej Polsce. To, co się przydarzyło mojej rodzinie, to, co przydarzyło się mojej żonie, moim dzieciom i mnie także, niewątpliwie łączę ze swoją działalnością dziennikarską. I to, jeśli chodzi o połączenie ze sprawą Grzegorza Przemyka, to jakby istota tego połączenia ma taki z jednej strony mechaniczny wręcz splot okoliczności, polegający na tym, że dom został podpalony 22 kwietnia 1990 roku, a od co najmniej 3 tygodni umówiony byłem z ówczesnym Ministrem Sprawiedliwości Panem Bentkowskim i prokuratorem Panem Herzogiem, tak się bodajże nazywał, prokurator krajowy ówczesny, na złożenie zeznań przez wymienionego tutaj pułkownika czy majora Kluczewskiego, czy Kulczyńskiego, nie pamiętam dokładnie nazwiska w tej chwili, który miał poświadczyć to wszystko, co już napisałem w tekście, jeśli chodzi o przygotowanie tej inscenizacji, m.in. oczywiście, o przekazanie tej inscenizacji na Jezuickiej, jeśli chodzi o potrzeby ówczesnej prokuratury i jej śledztwa. Ale co więcej, on miał również powiedzieć to, co najpierw powiedział mi, a co ja przekazałem Kozłowskiemu, Kozłowski przekazał Herzogowi i Herzog pojechał natychmiast do Komendy Głównej, mianowicie miał opowiedzieć o tym, że dostał od generała Czesława Kiszczaka polecenie zniszczenia 30 tomów akt tajnego śledztwa czy prawdziwego śledztwa w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka. W tym sensie prawdziwego, że pokazującego działania MSW, które miały przekierować sprawę śmierci Grzegorza Przemyka najpierw na sanitariuszy, którzy wieźli go z Komendy Wojewódzkiej na pogotowie na Hożą oraz lekarki. I przecież pamiętamy, ci, którzy znają sprawę Przemyka, wiedzą, że obydwaj sanitariusze siedzieli przez kilka lat w więzieniu tylko dlatego, że wymyślono, a praktycznie Czesław Kiszczak wymyślił taką wersję budowy podawania oficjalnego przyczyn śmierci Grzegorza Przemyka jako niewłaściwe obchodzenie się z nim w windzie przez sanitariuszy. I do tego spotkania miało dojść rano o godzinie 9.00 23 kwietnia. I w tym sensie to się bezpośrednio łączy. Ale to jest tylko mechaniczne połączenie. Natomiast muszę Panu powiedzieć, co już kiedyś przy innej okazji powiedziałem, ale faktem jest, że w pierwszym momencie, kiedy się obudziłem, kiedy żona krzyknęła: „Jurek, pali się”, wybiegłem do tego przedpokoju, zorientowałem się o rozmiarach tego, co nas czeka, jeszcze nie przewidując aż tak dramatycznych skutków zarówno o żonę, jak i o córkę, i o siebie, ale już wiedziałem, i to była pierwsza myśl, taka absolutnie naturalna, spontaniczna, że to jest sprawka MSW. I krzyknąłem: „A jednak!”. I tu przekląłem, używając słowa bardzo wulgarnego, „A jednak Ci...”, i tu to słowo padło, „...podpalili mnie”. Byłem przekonany, że to musi być sprawka związana z ludźmi z MSWiA. Dlaczego? I na jakiej podstawie? A jeśli nie z MSWiA, to ze służb specjalnych w ogóle, bo być może wojskowych. To m.in. opierałem nie na jakichś iluzorycznych przekonaniach, tylko na autentycznych sygnałach, które od kilku lat odbierałem i które nie tyle bagatelizowałem, ale

które rachowałem jako próbę nacisku na mnie, jako próbę zahamowania czy zrezygnowania z tego, czym się zajmowałem, mianowicie właśnie demaskowania tego, co się dzieje w służbach specjalnych. Bo przecież nie tylko z tego okresu PRL-owskiego, ale ja pisałem także o patologiach, które pojawiały się już w czasach rządów nie tylko Czesława Kiszczaka, ale również Krzysztofa Kozłowskiego i Andrzeja Milczanowskiego. Nie wiem, czy pamięta Pan taką sprawę, to się nazywało „pluton...”, nie pamiętam nazwiska tego faceta. Taki pluton stworzony przez młodego doktoranta Akademii Medycznej, ale zajmującego się sprawami policji, stworzenia takiego plutonu młodzieńczego do spraw rozbijania demonstracji solidarnościowych, ale opisywałem także wcześniejsze patologie pojawiające się w MSW, jak przede wszystkim sprawy weryfikacji jako fałszywego bardzo często poświadczania dla ludzi, których nie sprawdzano dokładnie biografii, itd. Więc byłem pewien, że w tym maczają służby specjalne. A te ostrzeżenia miałem po prostu albo, co ciekawe, albo tak zwani „życzliwi”, być może, życzliwi ludzie, tak np. miałem w przypadku dwukrotnych telefonów od młodych oficerów, tak się przedstawiali, młodzi oficerowie Wojska Polskiego. „Chcemy pana ostrzec, panie redaktorze, że u nas w pułku krąży pogłoska, że tam nasze dowództwo chce pana załatwić. Tylko tyle, niech pan uważa na siebie”. I to było, pamiętam, z jednostki jakiejś spod Legionowa, była taka jednostka, z jakiejś jednostki lotników także. Miałem także ostrzeżenia takie, ale bezpośrednio, wprost, jak facet prawdopodobnie podszywał się, ale mówił: „Ja dzwonię z gabinetu Jacka Majchrowskiego. Pan źle skończy, jak pan będzie dalej zajmował się moim szefem”. Miałem ostrzeżenia od... od członków tego plutonu, jak on się nazywał, nie pamiętam, przekazane mi przez, proszę sobie wyobrazić, takiego niewinnego chłopaka, jakim jest, jakim był i jakim jest ciągle, bo to jest, przepraszam panów za wyrażenie, może nie będziemy tego, a, nieważne. Dobrze, od jednego z kolegów z „Gazety Wyborczej”, do którego podszedł ktoś na ulicy i powiedział: „Przekaż Jachowiczowi, że jeżeli będzie się jeszcze zajmował”, już wiem, pluton Hempela, Hempel, takie klasyczne niemieckie nazwisko, tak się nazwał, Hempel [Adam Hempel]. „Jeżeli będzie się zajmował dalej jeszcze plutonem Hempla, to znajdzie się z kamieniem u szyi w Wiśle. Przekaż to Jachowiczowi”. Tak powiedział, przyszedł kolega, dziennikarz i powiedział do mnie. Była również jedna prawdziwa prowokacja, która także miała mnie, to jeszcze wszystko było, mówię o tym, szczególnie jeśli chodzi o tę prowokację, to miała miejsce przed wypadkiem. To była prowokacja polegająca na tym, że ja jestem człowiekiem, który włamuje się nocami do placówek dyplomatycznych kilku – japońskiej, francuskiej, brytyjskiej – i tam kradnę sprzęt elektroniczny. I go później albo sprzedaję, albo używam go w domu. Zadzwoił do mnie, biały dzień, redakcja, około południa zadzwonił do mnie, ktoś przedstawił się jako z „Solidarności”, z Radia „Solidarności” w Poznaniu. „Uzyskaliśmy taką i taką informację i prosimy, żeby pan odpowiedział na te zarzuty, które się pojawiły”. I powiedział mi to, co przed chwilą powiedziałem. Ja mówię: „Proszę pana, czy pan zwariował? Czy pan naprawdę traktuje to pytanie poważnie?”. „Tak, proszę pana, bo bez względu na to, co pan zrobi, czy pan odpowie, czy nie, to my to za chwilę puścimy na antenie jako wiadomość”. „Proszę pana, a skąd pan ma tę wiadomość?” „Proszę pana, mamy tę wiadomość od absolutnie wiarygodnego źródła. I nie będę panu sprzedawał informacji o tym źródle, ale ono jest wiarygodne”. Ja mówię: „Proszę pana, jeżeli ma pan źródło takie, na które może się pan powołać, na przykład z policji albo z prokuratury, to oczywiście ma pan obowiązek taką informację podać, podając dokładnie źródła, więc nazwisko prokuratora albo policjanta, proszę bardzo. To wolno panu zrobić, ale nie wolno panu zrobić, powołując się na wiarygodne, anonimowe źródło, dlatego że ja panu natychmiast wytoczę proces, który pan przegra, bo przecież pan opowiada jakieś bzdury”. „Proszę pana, to jeżeli pan nie chce odpowiedzieć, to ja będę ciekaw, co odpowie pana kierownictwo. Niech pan poprosi do telefonu pana Juliusza Rawicza”. Więc ja mówię: „Julek, słuchaj, mam taki telefon przedziwny”, itd. „Facet mówi z takim przekonaniem z Radia »Solidarność«, porozmawiaj

z nim". Więc Julek Rawicz, nie słyszałem, bo odszedłem, wtedy były jeszcze telefony wyłącznie stacjonarne, rozmawiał z nim i powiedział to samo, że: „Proszę pana, nie będę panu odpowiadał na takie rzeczy, które są po prostu być może wysane z palca, a pan je traktuje poważnie”. Muszę natomiast Panu powiedzieć, że ja to wziąłem bardzo poważnie. To znaczy ja to uznałem, że to jest coś, co może być prowokacją już zorganizowaną, o której ja nawet nie wiem. Pomyślałem sobie tak, ja w mieszkaniu, mieszkałem wtedy przy Placu Zbawiciela, miałem 3 pokoje i kuchnię i przyjmowałem różnych ludzi do siebie jako informatorów, u siebie, w tym także zarówno ludzi od tego Hempla, jak i przyjmowałem chyba 2 czy 3 funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, w tym także funkcjonariuszkę Służby Bezpieczeństwa. To dokładnie pamiętam. I rzecz polega na tym, że ja bardzo często, umawiając się z kimś, umawiałem się do pewnego stopnia na zakładkę, czyli dawałem sobie luzu pół godziny między końcem rozmowy jednym a przyjęciem następnej osoby. Ale często zdarzało się tak czy zdarzyło się, już nie pamiętam, ile razy, ale zdarzyło się tak, że ja w którymś momencie mówiłem: „To proszę przejść do tego pokoju i chwilę poczekać”. Tutaj ktoś przychodził, ja z kolei mówiłem: „Niech pan poczeka”, bo nie mogli się informatorzy poznać, zobaczyć ze sobą, bo to była, ja im gwarantowałem to, że tylko ja będę świadkiem, prawda? I tylko ja będę tym, któremu to przekazują. Czasami kilka, kilkanaście minut siedzieli sami w jednym z pomieszczeń. I ja sobie nagle pomyślałem: „A może, cholera, ktoś z nich włożył do mieszkania mi jakiś magnetofon albo jakiś sprzęt radiowy”, nie wiem, nie mam pojęcia, bo ja nigdy nawet nie zajmowałem się tym, nie używałem żadnych tych poza małym sprzętem, dyktafonem, którym nagrywałem. Umówiłem się, proszę?

### **Artur Kłus: To mieszkanie w Warszawie było takim dziennikarskim, bo Pan mieszkał w Pruszkowie wówczas?**

**Jerzy Jachowicz:** Nie, ale ja już od wielu, wielu lat, nie od wielu, tylko od pożaru zacząłem mieszkać w Warszawie. Zacząłem mieszkać w Warszawie. Więc w takim razie rzeczywiście prowokacja była już po. Musiała być ta prowokacja, o której mówię, była po pożarze, bo ja już mieszkałem w tym nowym mieszkaniu, po spaleniu w Pruszkowie mieszkałem przy Placu Zbawiciela w Warszawie. I pomyślałem sobie tak, do Julka powiedziałem: „Julek, wiesz co, powiedz im, że niech zadzwonią za godzinę. Ja pojedę z Wojtkiem Kamińskim do siebie do domu, żeby mieć świadka. Pojedziemy szybko we dwóch”, to było blisko od redakcji, dosłownie 10 minut drogi samochodem do mnie na Plac Zbawiciela. I mówię: „Wiesz co, Wojtek, po prostu sprawdzę w mieszkaniu, czy mieszkanie mam czyste, żeby być na 100% przekonany, że nic takiego nie ma miejsca, żeby być pewnym”. Rzeczywiście, oczywiście nic nie było. Nigdzie pod żadnym łóżkiem nic nie leżało. Wróciliśmy do redakcji spokojnie. Ale pokazuje, wprawdzie to było już po pożarze, ale pokazuje to, jakimi sposobami różnymi próbowano wpłynąć na mnie bądź na moją reputację. Pożar był rzeczywiście dramatyczny. Tak, przede wszystkim najpierw próbowałem przedostać się do pokoju córki, która była w drugim pokoju obok pokoju żony, która spała z kolei w ostatnim pokoju, w pokoju syna, którego nie było w domu, który już od kilku miesięcy mieszkał sam w Pruszkowie, wynajął sobie mieszkanie już i nie było go w tym czasie w domu. Próbowałem najpierw dostać się do córki, ale tam nie miałem żadnych szans. Natomiast żona przybiegła, wyszła ze swojego pokoju, bo spała w środkowym, blisko mnie, budząc mnie. I zacząłem żonę namawiać, żeby próbowała zejść po piorunochronie, który na szczęście był blisko takich szerokich drzwi, które były takimi długimi drzwiami od sufitu do podłogi o charakterze balkonowym, z tym że nie było balkonu, była tylko taka mała barierka, która przytulała się, metalowa, około 3/4 metra długości, może góra metr, przytulała się bezpośrednio

do ściany, ale nie był to żaden balkon, ale na szczęście blisko niej, w odległości kilku centymetrów, był piorunochron. I ja po prostu powiedziałem: „Kasiu”, przepraszam, „Isiu” do córki, przepraszam, do żony powiedziałem: „Isiu, to ja zejść po piorunochronie, spróbuję i Ciebie złapię na ręce. Jeżeli dasz radę, to zrzuć wcześniej poduszkę, poduszkę i pierzynę”. Czy kołdrę, już nie pamiętam, czym byliśmy przykryci. Tak żeby miała miękko. „I skoczysz, jeżeli nie jesteś w stanie zejść”. Bo ona jednak rzeczywiście nie była niestety wysportowana. I poza tym szok, przerażenie, więc, ja natomiast zachowałem jakąś względną przytomność umysłu. Zszedłem po tym parapecie i zacząłem krzyczeć do żony: „Kasiu, kołdry, Kasiu, pierzyny”. Nie wiem co, już w tym czasie była jakaś gromadka sąsiadów, którzy się temu przypatrywali. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy: „Zaraz, zaraz, to ja, to ja, to ja rzucę kołdry”, bo córka zaczęła krzyczeć, że nie może złapać, dlatego że już się pali łóżko. Ja mówię: „No to, Isiu, skacz, ja ciebie spróbuję złapać”. Ona, o czym nikt wtedy nie wiedział, dziś już wiem, bo to z innych rzeczy, z filmów m.in. dokumentalnych też wiem, że z okna, z którego się skacze, czy ze ściany, z jakiegoś gzymsu, trzeba skakać do przodu, będąc do przodu, a nie tyłem, bo tyłem zawsze grozi upadek, że się spada na kręgosłup, jednak bez względu na to, jak się leci. I żona niestety złapała się, przekroczyła jakoś tę barierkę metalową, stanęła na niej, ale nie odwróciła się do przodu, tylko myślała, że zeskoczy na dół. I upadła na taką barierkę, która była w odległości tam około metra od ściany. Jeszcze przez chwilę żyła. Nie chcę o tym opowiadać. Jeszcze rozmawiałem z nią, błagając, żeby żyła, i modląc się do... Chyba do Jeziornej, chyba do szpitala do Jeziornej. I tam po kilkudziesięciu minutach zmarła. Córka natomiast, też już nie pamiętam, w jaki sposób, ale stała w oknie u siebie w tym pokoju i krzyczała. I ja też zacząłem krzyczeć, że ją złapię i żeby skakała. Ona skoczyła, wyrwała mi się jakoś z rąk, po prostu nie utrzymałem jej, upadła, naruszyła sobie kręgosłup. Do tej pory ma jakąś tam wadę kręgosłupa, taką stałą. I przy każdym jakimś większym wysiłku, można powiedzieć, nie jest oczywiście w żadnym stopniu inwalidą ani nie ma żadnego takiego widocznego ubytku na zdrowiu, który by ją kwalifikował do czegokolwiek, natomiast odczuwa po prostu ten ból, a w tej chwili jest już przecież grubo ponad 40-letnią panią. A syn zjawił się szybko, dowiedziawszy się, co się stało. On już jechał ze mną i z żoną, czyli jechał z matką i z żoną tam do tego szpitala, do Konstancina. I był świadkiem tego, co tam się z żoną działo. A później mieliśmy nadzieję jakkolwiek, że choć ślady jakiegokolwiek, które dokądkolwiek mogą prowadzić, zdoła ustalić policja i prokuratura. Uznano, że to, jak wiadomo, bardzo głośna sprawa, bardzo głośne śledztwo. Jak wiele, wiele śledztw głośnych i znanych w Polsce, te już po ,90 roku, nie udało się do dzisiejszego dnia wykryć. Nie jest to jedyny taki dramatyczny wypadek. Myślę, że to nie jest trudne do uwierzenia dla ludzi, którzy przeżyli jakąś tego rodzaju czy innego rodzaju tragedię, dramat, w którym w jakimś nagłym wydarzeniu, w jakichś nadzwyczajnych okolicznościach ginie ich bliska osoba. Myślę, że to głównie dotyczy rodziców, ale czasami może i współmałżonków, że myśli się o tym każdego dnia. Dosłownie. Nie ma dnia, żebym o tym przez chwilę, taki błysk, nie pomyślał. Najlepszy dowód, m.in. jak teraz w rozmowie myliłem nawet imiona, Kasia, Isia.